

## ODRZUTOWIEC MIAUA

— „Przerywamy nadawanie programu, aby podać...”

— Jack! Nie zrywaj się tak nagle! Na dodatek rozsypałeś popiół po całym swoim...

— Och, Ins, skarbie, daj mi posłuchać...

— „... obiekt, początkowo zidentyfikowany jako kometa, ciągle zmienia kurs i lecąc w stratosferze opada co jakiś czas tak nisko...”

— Denerwujesz mnie, Jack! Jesteś jak przykuty do tego radia. Żebyś mnie choć raz poświęcił tyle uwagi.

— Kochanie, porozmawiamy na ten temat, poświęcę ci nawet więcej uwagi albo zrobię, co zechcesz, jak tylko wysłucham tego komunikatu, ale proszę, proszę, DAJ MI POSŁUCHAĆ!

— „... ńców wschodniego wybrzeża ostrzega się, by uważali na zbliżający się o...”

— Ins, nie!

*Pstryk.*

— Ze wszystkich najbardziej samolubnych, bezmyślnych i nieuprzejmych...

— Dosyć tego, panie Jacku Garry. Radio jest tak samo moje jak i twoje i mam prawo je wyłączyć, kiedy chcę! — A czy mógłbym zapytać, dlaczego musisz je wyłączyć właśnie w tej chwili?

— Bo wiem, że jeśli komunikat jest ważny, zostanie odczytany jeszcze dziesiątki razy i przy każdym następnym powtórzeniu każesz mi siedzieć cicho. A także dlatego, że nie interesują mnie podobne sprawy i nie rozumiem, dlaczego mam się dać nimi zanudzić. Oraz dlatego, że jedyne, czego słuchasz, to informacje, które w żaden sposób nie mogą dotyczyć nas. Ale przede wszystkim dlatego, że wrzasnąłeś na mnie!

— Nie wrzeszczałem!

— Owszem! I nadal to robisz!

— Mamo! Tato!

— Och, Molly, kochanie, obudziliśmy cię!

— Biedne dziecko. Zaraz, zaraz, a gdzie twoje kapcie?

— Nie jest dziś zimno, tatusiu. O czym mówili w radiu?

— Coś się kręci po niebie, kochanie. Nie słyszałem wszystkiego.

— Statek kosmiczny, mogę się założyć.

— No widzisz? Wszystko przez ciebie i tę twoją science fiction!

— Nazwij nas science frakcją. Ta mała ma więcej oleju w głowie niż ty.

— Wychodzi na to, że sam masz go tylko tyle co siedmioletnie dziecko. A p—poza tym, nastawiasz ją p—przeciwko mnie!

— Och, mamó, na miłość boską, nie płacz!

W tym właśnie momencie coś, niczym pięść olbrzyma, zmiotło dwupokojowe górne piętro domku i rozrzuciło po plaży. Światła zgasły, a cały brzeg rozjarzał się, oślepiającym niebieskim blaskiem.

— Jack, kochanie, nic ci nie jest?

— Mamo, krew mu leci!

— Jack, kochany, powiedz coś. Proszę.

— Uff! — posłusznie odezwał się Jack siadając, a spadające z niego kawałki deszczulek i tynku cicho stuknęły o podłogę. Delikatnie przyłożył ręce do skroni i gwizdnął. — Coś uderzyło w dom!

Jego rudowłosa żona zaśmiała się na wpół histerycznie. — Nie tylko, skarbie. — Objęła go, strząsnęła mu z włosów trochę kurzu i pogładziła po szyi.

— Boję się, Jack.

— Ty mi to mówisz! — Rozejrzył się niepewnie w przyćmionym świetle księżyca. Wzrok jego przykuła jasność napływająca z nieznanego miejsca. Schwycił kurczowo Ins za ramię. — Piętro... Nie ma go! — wychrypiął usiłując wstać. — Pokój Molly... Molly...

— Tu jestem, tatusiu. Uważaj, przygniataasz mnie!

— Szczęśliwa mała rodzinka — rzekła Ins drżącym głosem — spędzająca wakacje w małym cichym domku nad morzem, żeby tatuś mógł pisać techniczne artykuły, a mamusia nabrać ponownie sił — bez telefonu czy kina w promieniu wielu kilometrów, rodzinka mieszkająca w domku, z którego nagle zlatuje dach. Jack — co w nas uderzyło?

— Coś, o czym mówiłaś — odrzekł z przekąsem. — Coś, czym nie masz zamiaru się interesować, i co w żaden sposób nie może nas dotyczyć. Pamiętasz?

— To, o czym mówili w radiu?

— Wcale bym się nie zdziwił. Lepiej się stąd wynośmy. Dom może się na nas zawalić, spłonąć albo coś podobnego.

— I wszystkich by zabiło — jęknęła Molly.

— Cicho bądź, Molly! Iris, pójdę się rozejrzeć. Lepiej wyjdź na dwór i znajdź miejsce na rozbicie namiotu — jeśli zdołam go odszukać.

— Namiot? — z niedowierzaniem spytała Iris.

— O rany! — wykrzyknęła Molly.

— Panie Jacku Garry, nie mam zamiaru spać w namiocie. Czy zdajesz sobie sprawę, że lada chwila to miejsce będzie pełne ludzi?

— Dobrze, już dobrze. Wyjdź tylko spod tego, co zostało z domu. Pójdź popływać. Idź na spacer albo nawet połóż się spać w pokoju Molly, jeśli go znajdziesz. Naprawdę wspaniale wybrałaś czas na kłótnię!

— Nigdzie nie pójdę sama!

Jack westchnął. — Trzeba było cię poprosić, żebyś się nigdzie stąd nie ruszała — mruknął. — Jeśli nie jesteś najbardziej krnąbrną kobietą, jaką kiedykolwiek... Molly, bądź cicho!

— Nic nie mówiłam.

*Miauuuuuu!*

— To nie ty się drzesz jak marcowy kot?

— Nie, tatusiu, słowo.

— Gdyby nie fakt, że koty są mądre i żaden na pewno nigdy by się nie zbliżył do tego domu — stwierdziła Iris — pomyślałabym, że jakiś nieszczęśnik zaplątał się w rumowisku.

*AAAAAAA! Miauuuuuu!*

— Co za okropny głos!

— Jack, to nie kot!

— Przestańże się trząść jak ten przysłowiowy liść osiki.

— Tatuś i tak się trzęsie, tyle że bez osiki — zauważyła Molly.

— Molly! Jesteś za smarkata, żeby sobie pozwalać na takie żarty.

— Pszam, tatusiu. Zapomniałam się.

*MMMMMMMMMMiau. MMMMMMMM.*

— Cokolwiek to jest — stwierdził Jack — nie może być na tyle duże, by się go bać, skoro wydaje z siebie taki cichy zabawny dźwięk.

Ścisnął ramię Iris i idąc ostrożnie przez rumowisko zaczął się rozglądać dokoła. Molly gramoliła się obok niego. Właśnie miał ją poprosić, żeby tak nie hałasowała, ale zmienił zdanie. Trochę więcej łoskotu — jakie to może mieć znaczenie?

Dźwięk się nie powtórzył, a pięciominutowe poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Pan Garry wrócił do żony, która szperała w pozostałościach pokoju gościnnego i zupełnie niepotrzebnie ustawiała poprzewracane krzesła i stoliki do kawy.

— Nie znalazłem ni...

— HURRA!

— Co się stało, Molly?

Dziewczynka była na dworze, przy krzakach. — Ojej, tatusiu, chodź szybko i zobacz sam!

Zdopingowany nagłym tonem jej głosu z traskiem wybiegł z domu. Molly stała nieruchomo, usiłując wepchnąć do ust obie dłonie jednocześnie. U jej stóp zaś znajdował się człowiek o srebrzystoszarej skórze, ze złamaną ręką, który miauczał.

— „...Gwardia Narodowa i marynarka odwołują ostrzeżenie. Pilot samolotu transportowego linii Pan American zameldował, że obiekt zniknął w zenicie. Ostatni raz widziano go trzydzieści kilometrów na wschód od Normandy Beach w stanie New Jersey. Doniesienia z pobliskich rejonów mówią o tym, że poruszał się bardzo wolno wydając syczący dźwięk. Chociaż wielokrotnie opadał na odległość zaledwie kilku metrów od Ziemi, jak dotąd nie doniesiono o żadnych zniszczeniach. Docho...”

— Słyszałeś? — spytała Iris, wyłączając trzyzakresowe przenośne radjko. — Żadnych zniszczeń.

— Taaak. No a jeśli nikt nie widział, jak uderzył, to nikt tu nie przyjedzie zbadać sprawy. Możesz więc udać się na swoje puchowe posłanie w namiocie bez obawy, że ktoś zechce przeprowadzić z tobą wywiad.

— Mam iść spać? Oszalałeś? Spać w twoim namiocie stojącym na słowo honoru, kiedy ten potwór leży obok?

— Rany, mamciu, on jest chory! Nikomu nie robi krzywdy. Siedzieli wokół wesoło trzaskającego ogniska, podsycanego deskami z dachu. Jack postawił namiot bez żadnych trudności. Srebrzystoszary człowiek leżał wyciągnięty w cieniu i spał spokojnie pojękując od czasu do czasu. Jack uśmiechnął się do Iris. — Wiesz, kochanie, uwielbiam tę twoją paplaninę. Z przyjemnością patrzyłem, jak zabrałaś się do składania jego ręki. Nie myślałaś o nim jako o potworze, gdy ją opatrywałaś.

— Naprawdę? Może faktycznie słowo „potwór” nie było właściwe. Ale Jack, on ma tylko jedną kość w przedramieniu!

— Co takiego? Głupstwa opowiadasz, skarbie! To nie naukowe. Musiałby mieć w przegubie staw kulkowy.

— Taki właśnie ma.

— Muszę się sam przekonać — mruknął Jack. Wziął latarkę i podszedł do wyciągniętej na ziemi postaci.

Srebrne oczy zamrugały. Było w nich coś dziwnego. Przybliżył promień latarki; w jej świetle źrenice miały kolor nie czarny, ale ciemnozielony. I zamykały się — z boków, jak u kota. Jack wypuścił powietrze z przeciągłym gwizdem. Przesunął krąg światła z latarki po całym ciele człowieka. Okryte było czymś, co przypominało jaskrawoniebieski obszerny płaszcz kąpielowy z żółtym paskiem. Pasek miał zapięcie, które wyraźnie składało się z dwóch kawałków metalu złożonych razem, ale nie widać było niczego, co by je spinało. Po prostu trzymały się same. Kiedy

znaleźli zemdlonego, Jack musiał użyć prawie całej swojej siły, by je rozłączyć.

— Iris.

Wstała i podeszła do Jacka.

— Pozwól spać temu biedakowi.

— Iris... jakiego koloru był jego strój?

— Czerwony z... ale teraz jest niebieski!

— No właśnie. Ins, któż to jest, u Boga Ojca?

— Nie wiem, sama nie wiem. Jakiś biedak, który uciekł z zakładu dla... dla...

— Dla kogo?

— A skąd ja mam to wiedzieć — zirytowała się. — Musi być jakieś miejsce, gdzie wysła się stworzenia, które takie się rodzą.

— Stworzenia nie rodzą się takie. Iris, jego ciało nie jest zdeformowane. On jest po prostu inny.

— Rozumiem. Nie wiem, dlaczego rozumiem, ale coś ci powiem. — Zatrzymała się i milczała tak długo, że zdziwiony odwrócił się ku niej. Wolno powiedziała: — Powinam się go bać, bo jest dziwny i brzydki, ale... nie boję się wcale.

— Ja też nie.

— Molly, wracaj do łóżka!

— On jest koboldem.

— Może i tak. Biegnij teraz spać, kochanie, a rano zapytasz go, gdzie trzyma swoje ukryte skarby.

— Aha. — Odeszła trochę, przystanęła na jednej nodze, a drugą narysowała małe kółko na piasku. — Tatusiu...

— Tak, Molly, skarbie?

— Czy mogę jutro spać w namiocie?

— Jeśli będziesz grzeczna.

— Tatuś chciał zapewne przez to powiedzieć — dorzuciła lodowato Iris — że jeśli nie będziesz grzeczna, to do wieczora położy dach.

— Będę grzeczna. — Zniknęła w namiocie.

— Dzieciom — powiedział z podziwem Jack — przyszłość zawsze wydaje się różowa.

Szary człowiek zamiauczał.

— No, staruszk, o co chodzi?

Nieznajomy wyciągnął zdrową rękę i zaczął coś gmerać przy opatrzonym ramieniu.

— Boli go — stwierdziła Iris. Uklękła obok i biorąc przegub jego zdrowej ręki, odsunęła ją od łubki, którą szarpał. Nie oponował, leżał tylko i patrzył na nią przymrużonymi, pełnymi bólu oczyma.

— Ma sześć palców — stwierdził Jack. — Widzisz? — Uklękął obok żony i delikatnie wziął przybysza za przegub. Gwizdnął. — To faktycznie przegub kulkowy.

— Daj mu aspirynę.

— Dobra m... zaraz, zaraz. — Jack w zamyśleniu pociągnął palcami wargę. — Sądzisz, że powinniśmy mu dać?

— Dlaczego nie?

— Nie wiemy, skąd pochodzi. Nie wiemy nic o przemianach chemicznych zachodzących w jego organizmie ani też, co jakieś nasze lekarstwo może spowodować.

— On... co to znaczy, że nie wiemy, skąd pochodzi?

— Iris, zechciej choć trochę rozsądnie pomyśleć. Czy wobec dowodu rzeczowego, jaki mamy przed sobą, będziesz nadal próbowała utrzymywać, że ten nieznajomy pochodzi z jakiegoś miejsca

na Ziemi? — zirytował się Jack. — Znasz swoją budowę. Nie powiesz mi, żeś kiedykolwiek widziała ziemskiego odmieńca o takich kościach i skórze! To zapieczętowanie paska, materiał, z którego jest ubranie... dajże już spokój. Zostaw te swoje uprzedzenia i daj szansę szarym komórkom, dobrze?

— Sugerujesz coś, co się po prostu nie zdarza!

— To samo powiedział zwykły człowiek w... Hiroszynie. A także niegdysiejszy aeronauta zawieszony w gondoli balonu, gdy mu powiedziano o latających maszynach cięższych od powietrza. Te same słowa...

— No, dobrze już dobrze, Jack! Znam ciąg dalszy. Jeśli wolisz zajmować się dialektyką zamiast tym, co nam jeszcze zostało ze snu dzisiejszej nocy, to chciałabym tylko zauważyć, że wszystko, co wymieniałeś, odnosiło się do ludzkich poczynąń. Pokaż mi jakikolwiek nowy rodzaj plastyku, nowy metal czy nowy rodzaj maszyny, to zaakceptuję je, bo pochodzi od człowieka, chociaż nawet nie spróbuję zgłębić sposobu ich powstania. Ale ten... ten człowiek czy cokolwiek to jest...

— Wiem — powiedział łagodniej już Jack. — Jest przerażający, bo dziwny, a w głębi podświadomości czujemy, że wszystko co dziwne, musi być niebezpieczne. Dlatego właśnie z najwyższą kurtuazją odnosimy się do nieznanym, a nie przyjaciół — ale w dalszym ciągu nie jestem przekonany, czy powinniśmy dać temu osobnikowi aspirynę.

— Zdaje się, że oddycha tym samym powietrzem co my. Poci się, mówi... Chyba mówi.

— Masz rację. Cóż, jeśli to w ogóle pomoże, warto spróbować. Daj mu, ale tylko jedną.

Iris poszła do pompy ze składanym kubkiem z zestawu pierwszej pomocy i napełniła naczynie. Klękając przy srebrzystoskórym człowieku uniosła mu głowę, delikatnie wsunęła aspirynę między wargi i przytknęła kubek do ust. Łapczywie wsysał wodę, a następnie opadł całkowicie bezwładny.

— Och, tego się właśnie obawiałem. Iris położyła rękę na sercu obcego.

— Czy on... co się stało, Iris?

— Nie umarł, jeśli o to chodzi. Ale połóż tu rękę, dobrze? Jack zrobił to, o co prosiła. Serce uderzało powoli i mocno około ośmiu razy na minutę. Pod nim zaś, całkowicie niezgodnie z rytmem głównego uderzenia, wyczuwało się jeszcze jeden, szybki, rwany rytm, który zdawał się uderzać z częstotliwością około trzystu razy na minutę.

— Jakby jakaś palpacja — zauważył Jack.: — I to w dwóch sercach jednocześnie!

Nagle przybysz podniósł głowę i wydał z siebie serię modulowanych wrzasków i wyć. Szeroko otworzył oczy, a w poprzek nich drgała przezroczysta błona. Leżał całkowicie nieruchomo, z otwartymi ustami, wrzeszcząc i gulgotając. Nagle, błyskawicznym ruchem przyłożył sobie rękę Jacka do ust. Spiczasty język, jaskrawo pomarańczowy i o dziesięć centymetrów dłuższy, niż można by przypuszczać, wysunął się i polizął dłoń mężczyzny. Następnie dziwne oczy zamknęły się, wrzaski przeszły w ciche skomlenie, które też wkrótce ustało i przybysz rozluźnił mięśnie.

— Śpi — oznajmiła Iris. — Chyba mu nie zaszkodził.

— Coś jednak zrobiliśmy. Mam tylko nadzieję, że to nic poważnego. W każdym razie ramię już mu nie dokucza. O to przecież nam chodziło przede wszystkim.

Iris podłożyła poduszkę pod głowę dziwnego kształtu, dotknęła nadmuchiwanego materaca, na którym leżał, by sprawdzić, czy jest mu wygodnie. — Ma piękne wąsy — stwierdziła. — Zupełnie srebrne. Wygląda na bardzo starego i mądrego, prawda?

— Sowa też tak wygląda. No, chodźmy spać.

Jack obudził się wcześniej. Śniło mu się, że wyskoczył z latającego motocykla z parasolem w rękę, a ten w czasie spadania zmienił się w cukrową laskę. Jack wylądował w samym środku spiczastych, poszarpanych skał, które ugięły się pod nim jak gąbka. Natychmiast otoczyły go

podobne do Iris syreny o dłoniach kształtu zębatek. Wcale się jednak nie przestraszył. Obudził się uśmiechnięty, niezwykle rozradowany.

Iris spała jeszcze. Gdzieś na dworze usłyszał delikatny śmiech córki. Usiadł i spojrzał na składane łóżko dziewczynki. Było puste.

Zachowując się cicho, by nie zbudzić żony, wsunął stopy do butów i wyszedł.

Molly klęczała obok dziwnego gościa, który przykucnął i...

Grali w łapki.

— Molly!!

— Słucham, tatusiu.

— Co wy najlepszego wyprawiacie? Nie wiesz, że nasz gość ma złamaną rękę?

— Ojej, przepraszam. Zrobiłam mu coś złego?

— Nie wiem, ale to bardzo możliwe — powiedział oschle Jack. Podeszedł do przybysza i wziął go za zdrową rękę.

Człowiek spojrzał na niego i uśmiechnął się. Miał wyjątkowo osobliwy uśmiech: zęby spiczaste ze sporymi przerwami między jednym a drugim. — liii—ju mou mudibu Miau — powiedział.

— To jego imię — oznajmiła podniecona dziewczynka. Pochyliła się do przodu i szarpnęła nieznanego za rękaw. — Miau, hej, Miau! — i wskazała palcem na siebie.

— Muły — rzekł Miau. — Muły Giry.

— Widzisz, tatusiu? — wykrzyknęła entuzjastycznie. — Widzisz? — Wskazała palcem na ojca. — Tato. Ta—to.

— Tito — rzekł Miau.

— Nie, głuptasie! Tato.

— Tuto.

— Ta—to!

Jack, ogromnie przejęty, wskazał na siebie i powiedział: — Jack.

— Jick.

— Całkiem niezłe. Molly, ten człowiek nie potrafi wymówić „A”. Może powie „U” albo „I” ale nie „A”. To wystarczy.

Jack przyjrzał się łubkom. Iris sprawnie wykonała swoje zadanie. Kiedy stwierdziła, że zamiast kości promieniowej występującej u człowieka Miau nie ma w tym miejscu nic, nastawiła rękę i ujęła ją w dwóch łubkach zamiast jednego. Jack uśmiechnął się. Iris nie chciała przyjąć do wiadomości istnienia Miaua nawet tylko teoretycznie, ale jako pielęgniarka nie dość, że zaakceptowała jego budowę ciała, to nawet umiejętnie zrekompensowała jej odmienności.

— Chyba chce być uprzejmy — powiedział Jack skruszonej dziewczynce — i skoro proponujesz mu grę w łapki, oczywiście na to przystaje, nawet jeśli to bardzo boli. Nie wykorzystuj go, kruszynko.

— Nie będę.

Jack rozpałił ognisko i kiedy Iris wreszcie się pojawiła, woda już wrzała na zbudowanym z zielonych gałęzi trójnogu. — Musiał się wydarzyć jakiś kataklizm, skoro zabrałeś się do śniadania — gderała uśmiechając się jednocześnie z zadowoleniem. — Kiedy to byłeś harcerzem?

— No, kiedyś tam byłem — odrzekł. — Czy Madame zechce teraz przejąć pałeczkę?

— Madame zechce. Jak chory?

— Kwitnie. Z samego rana stoczył z Molly prawdziwy turniej gry w łapki. Nawiasem mówiąc, jego ubranie jest znowu czerwone.

— Jack... skąd on jest?

— Jeszcze go o to nie pytałem. Może się dowiemy, kiedy ja nauczę się wydzierać jak kot marcowy albo on mówi. Molly już wydobyła z niego informację, że ma na imię Miau —

uśmiechnął się Jack Garry — a mnie nazywa „Jick”.

— Nie potrafi wymówić „a”, co?

— Owszem. No, dosyć gadaniny. Zabierz się za śniadanie. Iris zakrzętnęła się przy posiłku, a jej mąż poszedł przyjrzeć się domowi. Nie wyglądało to tak źle, jak się spodziewał — a wszystko dzięki marnemu wykonawstwu. Najwidoczniej dwa górne pokoje były niedawnym dodatkiem i zostały po prostu nasadzone na starszą, o stosunkowo płaskim sklepieniu, dolną część. Rama łóżka dziewczynki była tak wygięta, że nie nadawała się do naprawy, ale stelaż ze sprężynami i materac były nietknięte. Stary dach wydawał się stosunkowo solidny, przynajmniej tam, gdzie został odsłonięty przez ubytek tandetnie wykonanego małego pięterka. Pokój gościnny pomieści jego i Iris, a łóżko córki można postawić w dawnym gabinecie. W garażu znajdowały się narzędzia oraz drewno, pogoda była ciepła i słoneczna, i sama myśl o perspektywie, ciężkiej pracy, za którą nie dostanie żadnego honorarium, bardzo pociągała Jacka Garry’ego, jak zresztą każdego innego pisarza, ponieważ odsuwała odeń konieczność pisania. Kiedy Iris zawołała go na śniadanie, sprzątnął już z dachu większość śmieci i miał opracowany plan działania. Trzeba tylko przykryć dziurę, gdzie znajdował się wylot schodów, i obejrzeć dach pod kątem możliwych przecieków. Przyszło mu do głowy, że solidny deszcz szybko mu je znajdzie.

— A Miao? — spytała Iris wręczając mężowi pachnący talerz jajek na boczku. — Czy nie dostanie kolejnego ataku, jeśli mu to damy do zjedzenia?

Jack spojrzął na gościa siedzącego blisko Molly po przeciwnej stronie ogniska i wytrzeszczonymi oczyma przyglądającego się ich śniadaniu.

— Nie wiem. Ale trochę możemy mu chyba dać. Miao zjadł swoją porcyjkę i zapiszczał o jeszcze. Uporał się z dokładką, a kiedy Iris odmówiła smażenia dalszych jajek, rzucił się na tosty z dżemem. Przy każdej nowej rzeczy najpierw zjadał małą kęskę, potem mrugał dwa razy oczyma, a następnie resztę pożerał błyskawicznie. Jedynym wyjątkiem była kawa. Tu wystarczył pierwszy łyk. Postawił filiżankę na ziemi i bardzo ostrożnie i delikatnie wylał zawartość.

— Potrafisz się z nim porozumieć? — spytała nagle Iris.

— On potrafi rozmawiać ze mną — oznajmiła dziewczynka.

— Słyszałem, jak to robi — stwierdził jej ojciec.

— O, nie, nie to mam na myśli — gorąco zaprzeczyła Molly. — Z tego nic nie potrafię zrozumieć.

— Więc o czym mówisz?

— Ja... nie wiem, mamusiu. On po prostu... mówi do mnie i tyle.

Jack i Iris spojrzeli po sobie. — To musi być jakaś zabawa — orzekła Iris. Jack potrząsnął głową przyglądając się uważnie córce, jakby jej nigdy dotąd nie widział. Ponieważ nie umiał nic powiedzieć, wstał.

— Myślisz, że dom da się naprawić?

— O, z pewnością — zaśmiał się. — Mała strata, bo i tak nigdy nie podobał ci się kolor ścian w pokojach na górze.

— Nie wiem, co mi się stało — zamyśliła się Iris. — Normalnie wierzę, że gdyby mi się przytrafiła choć jedna z tych rzeczy. Spakowałabym manatki i pojechałabym do domu, gdyby, powiedzmy, zaważyła się ściana na górze, gdyby była dziura w dachu albo gdyby ten... ten androidalny stwór nagle się pojawił. Ale kiedy wszystko zdarza się równocześnie — potrafię to znieść!

— Kwestia punktu widzenia.” Pokaż mi jakąś gderającą kobietę, a ja pokażę ci inną, która nie ma dość powodów do zmartwień.

— Jeśli natychmiast nie zejdziesz mi z oczu, to walnę cię patelnią w rozgadaną mózgowicę — wycodziła Iris. Jack zszedł.

Molly i Miau pociągnęli za Garrym, jak wracał do domu, i stali ‘obok siebie wytrzeszczając oczy, gdy włąził na drabinę.

— Co robisz, tatusiu?

— Zaznaczam krawędzie dziury, gdzie schody dotykają miejsca, w którym dach już się nie znajduje, tak bym mógł wyrównać brzegi piłą.

— Aha.

Jack z grubsza oznaczył przestrzeń kawałkiem węgla, przyciął siekierką mniejsze drzazgi, a następnie rozejrzał się w poszukiwaniu piły. Była jeszcze w garażu. Zszedł, wziął ją, wspiął się z powrotem, i zaczął piłować. Po dwudziestu minutach pot lał mu się strumieniami po twarzy. Przerwał, zszedł na dół, zmoczył głowę przy pompie, zapalił papierosa i znowu wszedł na dach.

— Dlaczego nie skaczesz w dół i do góry?

Praca na dachu zdawała się poważniejsza, a dzień o wiele gorętszy niż naprawę. Entuzjazm Jacka był odwrotnie proporcjonalny do tych czynników.

— Nie wygłupiaj się, Molly.

— Dobrze, ale Miau chce wiedzieć.

— Ach, tak? Poproś, żeby sam spróbował to zrobić. Znowu wziął się do pracy. W jakiś czas później, kiedy przerwał, żeby złapać oddech, nie dostrzegł nigdzie ani Miaua, ani córki. Pomyślał, że są przy namiocie, gdzie załazą za skórę Iris, i dalej piłował.

— Tatusiu!

Nieprzywykłe do pracy ramię i ręka tatusia już wołały gromkim głosem o pomoc. Suche miękkie drewno to wyginało piłę, to ją zatrzymywało i dlatego zbaczała z wytyczonej linii. Zniecierpliwiony odrzekł: — No, co tam?

— Miau prosi, żebyś przyszedł. Chce ci coś pokazać.

— Co mi pokazać? Nie mam teraz czasu na zabawy, Molly. Zajmę się nim, jak znowu będziemy mieli dach nad głową.

— Ale to jest dla ciebie!

— Co jest dla mnie?

— Ta rzecz na drzewie.

— No, dobrze — powodowany bardziej lenistwem niż ciekawością Jack zlązł z drabiny. Molly czekała. Miaua nigdzie nie było widać.

— Gdzie on jest?

— Przy drzewie — powiedziała przesadnie cierpliwie. Wzięła ojca za rękę. — Chodź. To niedaleko.

Poprowadziła go za dom i przez wertepy nazywane niesłusznie drogą. Po drugiej stronie stało drzewo. Spojrzał ku domowi i zauważył, że na tej samej linii było więcej drzew o ściętych wierzchołkach, znacząc szlak tego czegoś, co spadło z nieba, a zbliżając się ku ziemi dokonało spustoszenia w drzewostanie, zmiotło górne piętro i uniosło się ku — ku czemu?

Przez dziesięć minut zagłębiali się w las, obchodząc co jakiś czas zwałoną gałąź czy ścięty wierzchołek drzewa, aż dotarli do Miaua opartego o młody klon... Uśmiechnął się, wskazał na górę, na ramię, na ziemię. Jack przyglądał mu się nie rozumiejąc.

— Spadł z drzewa i złamał rękę — powiedziała dziewczynka.

— Skąd wiesz?

— No, tak po prostu było, tatusiu.

— Miło wiedzieć. Czy teraz mogę już wrócić do roboty?

— Chce, żebyś zdjął tę rzecz!

Jack spojrział do góry. Na dwóch trzecich wysokości drzewa zawieszony w widełkach gałęzi



pobłyskiwał jakiś pręt o długości metra z czymś o opływowych kształtach na obu końcach. To „coś” przypominało zbiorniki paliwa na końcach skrzydeł samolotu P-80. — Cóż to, u licha?

— Nie wiem. Nie potrafię... powiedział mi, ale nie wiem. W każdym razie to dla ciebie, żebyś nie... żebyś nie... — przez chwilę patrzyła na Miaua, a srebrne wąsy przybysza jakby się lekko wydłużyły — żebyś nie musiał tak dużo łązić po drabinie.

— Skąd wiesz, Molly?

— Powiedział mi i tyk. Rany, tatusiu, nie wściekaj się. Słowo daję, że nie wiem jak, po prostu mi powiedział.

— Nie rozumiem — wymamrotał Jack. — W każdym razie o co chodzi z tą rzeczą na drzewie? Ja też mam złamać rękę?

— Nie jest przecież ciemno.

— Co to ma do rzeczy?

Dziewczynka wzruszyła ramionami. — Spytaj jego.

— Chyba już rozumiem. Spadł z drzewa, bo było ciemno. Sądzi, że mogę wleźć na górę i dostać to coś bez zrobienia sobie krzywdy, bo widzę, co robię. Pochlebia mi także. Czy aby jednak na pewno? Jak blisko małp człekokształtnych nas umieszcza?

— O czym ty mówisz, tatusiu?

— Nic, nic... no więc dlaczego mam przynieść tę rzecz?

— Hmm... no po to, żebyś mógł skakać z dachu.

— Głupie gadanie. Chcę jednak rzucić okiem na toto. Skoro jego statek odleciał, przedmiot ten jest chyba jedynym poza ubraniem artefaktem, który ze sobą zabrał.

— Co to znaczy „artefakt”?

— Daleki kuzyn antraktu. No, zabieramy się do roboty.

I wspiął się na drzewo. Od lat już tego nie robił i kiedy ostrożnie stawiał każdy następny krok, myślał, że są pewnie bardziej efektywne sposoby pokonywania wysokości. Na przykład winda. Dlaczego windy nie rosną na drzewach?

Klon zaczął się kołysać i drzeć pod jego ciężarem. Raz tylko spojrzął w dół i natychmiast postanowił nigdy więcej tego nie robić. Popatrzył w górę i ucieszył się widząc, jak blisko jest celu. Podciągnął się jeszcze z metr i ze zgrozą zobaczył, jak cel jest daleko, bo im wyżej, tym gałązki były drobniejsze. Z trudem posunął się jeszcze bardziej do góry i sięgnął — palce tylko musnęły koniec przedmiotu. Zauważył, że są tam dwa pierścienie, po jednym z każdej strony, na tyle duże, by przesadzić przez nie ramię. Jeden z tych pierścieni zahaczał o gałąź. Podciągnął się jeszcze, a potem, kiedy jego nieprzyzwyczajone mięśnie już nie wytrzymały, puścił się jedną ręką i sięgnął.

To forsowanie jednej ręki nie wyszło mu na zdrowie. Ramiona nie dały rady. Pierścień zerwał się z gałązki pod wpływem ciężaru ciała. Natychmiast wokół rozległ się entuzjastyczny trzask łamanych gałęzi. Jack podwinął język i zacisnął zęby. Jak już raz chwycił artefakt Miaua, to go trzymał... nawet kiedy przedmiot nie był o nic zahaczony. Zaczął spadać i stężał cały przewidując impet, z jakim runie na dół i połamie sobie kości.

Uderzenia nie było.

Najpierw spadał całkiem szybko, ale potem trzymany pręt zaczął go unosić. Pomyślał, że jakimś cudem zahaczył o inną gałąź — ale nic podobnego! Opadał w dół jak niesione wiatrem nasienie ostu, zwisając z prętu, który w jakiś niepojęty całkiem sposób utrzymywał się w powietrzu. Z dwu opływowych kształtów na końcach dobiegł go ostry, syczący dźwięk. Spojrzął w dół, mrugnawszy oczyma przetarł pot z oczu, jeszcze raz spojrzął. Miau uśmiechał się od ucha do ucha, a dziewczynka zaskoczona rozdziawiła buzię.

Im bliżej ziemi, tym wolniej opadał. Kiedy po upływie niemal całej wieczności poczuł

błogosławiony opór gruntu pod stopami, musiał stanąć i pociągnąć pręt ku dołowi. Urządzenie poddało się wolno, jak balon. Pod końcówkami zatańczyły i zawirowały zeszcłe liście.

— Rany, tatusiu! To było wspaniałe!

Dwukrotnie przełknął ślinę, żeby zwilżyć wysuszone gardło; rozluźnił się po ogromnym wysiłku. — Tak, ale frajda — powiedział słabym głosem.

Miau podszedł, wyjął mu pręt z ręki i upuścił. Przedmiot utrzymywał się w pozycji poziomej, powoli opadając na ziemię. Miau wskazał palcem na urządzenie, na drzewo, i uśmiechnął się szeroko.

— Zupełnie jak spadochron. Ojej, tatusiu!

— Trzymaj się od tego z daleka — rzekł Jack widząc, co się święci. — Kto wie, co to jest. Może wypalić albo co gorszego.

Spojrzał nieufnie na przedmiot. Pręt leżał spokojnie, a syczenie z końcówek ustało. Miau schylił się nagle, podniósł przedmiot i umieścił sobie nad głową. Następnie spokojnie unióś nogi i zawisnął na nim. Pręt delikatnie go opuścił na dół, aż Miau usiadł w powodzi zeszcłych liści, kiedy bowiem przybysz unióś przedmiot do góry, opływowe nasadki przy końcach znowu zaczęły działać.

— Czegoś tak głupiego jeszcze w życiu nie widziałem. Niech no się przyjrzę. — Pręt unosił się w powietrzu na wysokości pasa. Jack pochylił się nad jedną z nasadek, zakończoną delikatną okrągłą kratką. Wyciągnął rękę. Miau chwycił go za przegub i pokręcił głową. Najwidoczniej niebezpiecznie było zbliżać się do owych końcówek. Nagle Jack pojął dłaczego. Były to jakieś maleńkie, bardzo potężne silniki odrzutowe. Jeśli silnik taki ma dość mocy, by utrzymać człowieka w powietrzu, to ssanie musi być ogromne — prawdopodobnie na tyle potężne, by wyrwać dziurę w dłoni ludzkiej, zupełnie jak gigantyczna dziurkarka do biletów.

Co nim sterowało? W jaki sposób siła ciągu silników dostosowywała się do ciężaru unoszonego przez urządzenie na określoną wysokość? Przypomniawsobie, i to wcale bez przyjemności, że spadał z czubka drzewa całkiem szybko, a w miarę przybliżania się do ziemi — coraz wolniej. A jednak, kiedy Miau unióś urządzenie nad głowę, został natychmiast podniesiony do góry, a następnie bardzo powoli opuszczony na dół. A poza tym jak to się działo, że pręt był tak stabilny? Dlaczego nie obracał się do góry nogami i nie gnał wraz z pasażerami ku ziemi?

Spojrzał na Miaua z rosnącym podziwem. Przybysz najwidoczniej pochodził z jakiegoś miejsca, gdzie nauka poczyniła ogromne postępy. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła wydobyć z gościa pewne wiadomości natury technicznej — i czy ewentualnie potrafi je zrozumieć. Naturalnie, mała będzie w stanie zrozumieć...

— Chce, żebyś zabrał urządzenie ze sobą i wypróbował na dachu — powiedziała Molly.

— Jak może mi pomóc postać z książki Kuttnera?

Miau natychmiast chwycił pręt, podniósł go, wsunął się pod niego, po czym wślizgnął ręce w dwa pierścienie, tak że pręt ułożył się na jego ramionach jak nosidła do wiader. Rozejrzawszy się dokoła stanął twarzą ku polanie i na ich oczach skoczył dziesięć metrów w górę, poszybował wielkim łukiem, a następnie łagodnie stanął pięć metrów dalej.

Dziewczynka podskakiwała i biła brawo, oniemiała z przejęcia. Jack natomiast zdołał jedynie wykrztusić z siebie kilka razy: — No, nie!

Miau stał nieruchomo, uśmiechając się rozbrajająco i czekając. Ruszyli ku niemu, a kiedy podeszli bliżej, ponownie skoczył i pomknął ku drodze.

— Co z tym fantem zrobić? — westchnął Jack. — Do kogo się zwrócić, no i co powiedzieć?

— Zatrzymajmy go, tatusiu.

Jack wziął córkę za rękę i ruszyli w ślad za skaczącym, szybującym wysoko srebrnym człowiekiem. Zostawić go z nimi! Przedstawiciel nieznanej rasy, z jakiejś nieprawdopodobnej

cywilizacji — i do tego najwyraźniej wysoko wykwalifikowany osobnik — nie odbyłby takiej podróży dla jakiegoś zwykłego obywatela. Co się za tym kryje? Czy jest forpocztą? Czy też... jedynym pozostałym przy życiu reprezentantem jakiegoś ludu? Z jak daleka przybył? Z Marsa? Z Wenus?

Dogonili go koło domu. Stał przy drabinie, a dziwny pręt spokojnie spoczywał na ziemi. Zafascynowany gość bawił się jo-jo należącym do Molly. Zobaczywszy ich rzucił zabawkę, podniósł swoje urządzenie, wsunął je na ramiona, skoczył do góry i miękko wylądował na dachu. — li-ju! — krzyknął dobitnie i zeskoczył na dół. Pręt był tak stabilny, że kiedy opadał, długie ciało przybysza bujało się w powietrzu.

— Bardzo ładnie — pochwalił Jack. — I robi wrażenie. Ale ja muszę wracać do roboty. — Podszedł do drabiny., Miau skoczył ku niemu i złapał za ramię skamłąc i gwizdząc w swoim dziwnym języku. Wziął pręt i podał go Jackowi.

— Chce, żebyś go użył — stwierdziła dziewczynka.

— Nie, dziękuję — odparł Jack przeczuwając zbliżający się zawrót głowy, którego doznał podczas wspinaczki. — Wolę drabinę — i wyciągnął ku niej rękę.

Miau, podskakując niezadowolony, sięgnął ręką za plecami Jacka i przewrócił drabinę. Padając przekoziółkowała przez jakieś pudło i boleśnie uderzyła Garry'ego w goleń.

— Lepiej użyj jednak latającego pasa, tatusiu.

Jack spojrział na Miaua. Srebrny człowiek wyglądał tak miło, jak na to pozwalała jego fizjonomia; z drugiej strony może warto byłoby sprawić mu trochę przyjemności. Jack stwierdził, że skoro już stoi bezpiecznie na ziemi, to nie ma znaczenia, czy ów fantastyczny przedmiot będzie funkcjonował na jego ramionach, czy też nie. A gdyby zawiódł nad samym dachem, no cóż, dom w końcu nie jest aż taki wysoki.

Niechętnie wsunął ramiona w pierścienie. Miau wskazał na dach, na Jacka, i udał, że skacze. Garry nabrał dużo powietrza, ostrożnie wycelował i mając nadzieję, że urządzenie nie zadziała — skoczył.

Wystrzelił w górę blisko domu — prawdę mówiąc, zbyt blisko. Okap z hakiem grzmotnął go dokładnie w to samo miejsce, w które przed chwilą uderzyła drabina. Jack wcale się jednak nie zatrzymał, Łagodnie poleciał na dach, szybował przez zapierającą dech w piersiach chwilkę, a potem zaczął opadać. Sądził, że dyndającymi nogami uda mu się zatrzymać na dalekim skraju dachu. O włos jednak go minął. Zdołał jedynie uderzyć się potężnie tą samą golenią w to samo miejsce, ale o przeciwległy okap. Ciągnąc za sobą stek przekleństw wylądował — w koszu z praniem wieszanym właśnie przez Ins. Żona, odwróciwszy się od sznura na bieliznę, stanęła naprzeciw niego.

— Jack! Cóż ty u diabła... wynoś mi się stąd! Stoisz na moim praniu brudnymi... Och!

— Och! Och! — zadrwił i zrobiwszy krok do tyłu wyszedł z kosza. Stopą trafił na należący do córki wagon pociągu pośpiesznego, którego Iris używała do przewożenia ciężkiego kosza. Chcąc utrzymać równowagę skoczył — i natychmiast uniósł się w powietrze. Tym razem miał więcej szczęścia. Poszybował bez problemu nad kuchennym skrzydłem domu i wylądował, w pobliżu Molly i Miaua.

— Tatusiu, leciałeś zupełnie jak ptak!

— Zaraz będę wyglądał zupełnie jak nieboszczyk, sądząc po wyrazie twarzy twojej matki. — Zrzucił z siebie „latający pas” i dał nura do domu, kiedy zza rogu wyszła Iris. Usłyszał rozradowaną córkę mówiącą „poszedł tam”, gdy przedierał się przez ruinę pokoju gościnnego i wychodził frontowymi drzwiami. Obchodził dom, gdy strzeliły drzwi od kuchni. Podbiegi do gościa, wyrwał mu urządzenie, wślizgnął się w nie i skoczył. Tym razem wymierzył bezbłędnie. Z łatwością pokonał wysokość domu, chociaż o mało nie wylądował okrakiem na sznurach. Kiedy

Iris, wściekła i zdyszana, wypadła z domu jak burza, zajęty był wieszaniem pościeli.

— Co ty sobie wyobrażasz? — wrzasnęła rozgniewana.

— Nic takiego, po prostu pomagam ci wieszać pranie, skarbie — odrzekł.

— Co to jest... ten przedmiot, który masz na plecach?

— Jeszcze jeden dowód na wszechobecność przyrządów z zakresu science fiction — odparł spokojnie. — Jest to wielostronny trójwymiarowy regulator masy, albo skokochron. Z jego pomocą mogę latać jak mewa, unikając trosk ziemskich i zalotów pięknych rudowłosych w tych momentach, kiedy ich względy są mi niemiłe.

— Kiedyś, i to w niezbyt odległej przyszłości, chuderlawa tyczko, wyciągnę język z twojej obłąkanej głowy i zawiążę na nim kokardę. — Zaśmiała się.

Westchnął z ulgą, podszedł i pocałował żonę. — Przepraszam bardzo, kochanie. Zgłupiałem ze strachu zwisając z tego czegoś. Nie widziałem kosza na bieliznę, a nawet gdybym go wcześniej zauważył, nie wiem, jak mógłbym go ominąć.

— Co to jest, Jack? Jak to działa?

— Pojęcia nie mam. Na końcach są urządzenia odrzutowe. Mają wielką siłę odrzutu, kiedy duży ciężar przyciąga je ku ziemi. Większą moc przy ziemi niż wysoko w górze. Kiedy ciężar się zmniejsza, odrzut maleje. Dlaczego tak się dzieje i skąd czerpią energię — nie potrafię powiedzieć. O ile mogłem się zorientować, zasysają powietrze na górze i wydmuchują przez silniki. Aha, i jeszcze jedno — bez względu na to, w którą stronę zwrócony jest pręt, odrzut kieruje się ku ziemi.

— Skąd to masz?

— Z drzewa. Należy do Miaua. Najwyraźniej używał tego urządzenia jako spadochronu. Kiedy opadał, w jeden z pierścieni wślizgnęła się gałąź. Miau wysunął się z maszyny, spadł i złamał sobie rękę.

— Co z nim zrobimy, Jack?

— Sam się tym zamartwiam od jakiegoś czasu. Nie możemy go przecież sprzedać do cyrku. — Przerwał, zamyślony. — Niewątpliwie zna wiele rzeczy, które mogłyby się okazać cenne dla ludzkości.

Ot, choćby ten jeden przedmiot zmieniłby oblicze ziemi! Posłuchaj tylko — waży osiemdziesiąt kilo. Padłem na to urządzenie niespodziewanie, kiedy straciłem oparcie w drzewie, i natychmiast zostałem uniesiony. Sądząc po budowie, Miau waży więcej ode mnie. Przedmiot uniósł go, kiedy trzymając go nad głową po prostu oderwał nogi od ziemi. Jeśli pręt może dokonać czegoś podobnego, to on sam albo jego większa wersja mogłyby nie tylko napędzać, ale także unosić pojazd powietrzny. Gdyby zaś z jakiegoś powodu było to niemożliwe, moc owych silników odrzutowych z pewnością zdołałaby napędzać turbinę.

— Czy upierze mi bieliznę? — Iris była skwaszona.

— Dokładnie to miałem na myśli! Lekkie, przenośne i o większej mocy, niż można by sądzić — oczywiście, że robi pranie. Może też napędzać prądnice, samochody i... Ins, co się robi, kiedy ktoś ma w rękawie taką sensację?

— Dzwoni się do gazety.

— Tak, i zaraz zleci się sto tysięcy osób węszących i wtykających wszędzie swoje wścibskie nosy, rozpocznie się dochodzenie z ramienia Kongresu i co tam jeszcze chcesz! Nie... no, nie!

— Dlaczego nie zwrócisz się do Harry'ego Zinssera?

— Harry? Myślałem, że go nie lubisz.

— Nigdy tego nie powiedziałam. Chodzi tylko o to, że zaszywacie się gdzieś w ciemnym kącie i gadacie o amputacji multiplikacyjnej czy też zwyrodnieniu reaktancji i podobnych sprawach, a ja mam siedzieć cicho i grzecznie, i dopiero czymś szokującym mogę zwrócić na siebie uwagę, tak jesteście zajęci. Poza tym nie mam nic do Harry'ego.

— Masz rację! Oczywiście, kochanie! Harry będzie wiedział, co zrobić. Już do niego jadę.

— Mowy nie ma! A dziura w dachu? Mówiłeś chyba, że przynajmniej załatwisz ją na noc. Jeśli pojedziesz, nie wrócisz przed zmrokiem.

Perspektywa piłowania dziury wyszarpanej w dachu nagle stała się najmniej pociągającą rzeczą na świecie. Ale w uwadze żony była logika, a poza tym wyczuwalna groźba „...bo jak nie, to...” Westchnął i ruszył do pracy, mamrocząc coś o największej zaliczce w dziejach ludzkości, która przechodzi mu koło nosa z powodu humorów kobiety. Zapomniał, że ma na sobie naramienny wysokościolet, i tylko dwa pierwsze kroki zrobił po ziemi. Iris wybuchnęła śmiechem na widok jego niezdarnego chodzenia w powietrzu. Kiedy dotknął ziemi, zacisnął szczęki i lekko skoczył na dach.

— Złap mnie teraz na tych twoich słupowatych nogach — wesoło dokuczał żonie, robiąc unik przed lancopodobnym drągiem do podtrzymywania sznurów na bieliznę, jakim w niego cisnęła, po czym zabrał się do pracy.

Kiedy zajęty był piłowaniem, usłyszał na dole jakiś hałas.

— Ta-tuś! Mruuu-iliu...

Westchnął i odłożył piłę. — O co chodzi?

— Miau chce swój latający pas!

Jack popatrzył na dach, na niższą nieco komórkę, i uznał, że jego stare kości zniosą konieczność zejścia na dół bez pomocy drabiny. Wziął pręt i zrzucił go na dół. Aparat utrzymywał się w pozycji idealnie poziomej, opadając z dokładnie tą samą prędkością, co wtedy, gdy sam z niego korzystał. Miau złapał pręt, zręcznie wsunął weń złamaną dłoń — Jack podziwiał, z jaką ostrożnością przybysz posługiwał się chorym ramieniem, a jednocześnie jak mało mu ono przeszkadzało — potem drugie ramię i podskoczył, by przyłączyć się do znajdującego się na dachu Jacka.

— Co powiesz, bracie?

— Woopen ju weep.

— Wiem, co czujesz. — Widział, że srebrzysty człowiek chce coś powiedzieć, ale nie potrafił go zrozumieć. Uśmiechnął się i chwycił za piłkę. Miau wyjął mu ją z dłoni i zrzucił z dachu, starając się nie trafić Molly, która podskakując oddaliła się nieco, by mieć dogodny punkt obserwacji.

— O co chodzi?

— Dellihiu hidden — oznajmił Miau. — Pento dei njuminiu hel — i wskazał na latający pas i dziurę w dachu.

— Chcesz powiedzieć, że chętniej bym odleciał tym czymś, niż pracować? Oczywiście, bracie. Ale niestety muszę...

Miau zatoczył ręką wokół dziury w dachu i ponownie wskazał na skokochron, pokazując jeden z silników odrzutowych.

— Nie pojmuję — rzekł Jack.

Miau najwidoczniej zrozumiał, bo po jego wyrazistej twarzy przemknął cień zdumienia. Klękawszy, zdrową ręką otoczył jeden z silników, nacisnął dwa małe przyciski i pokrywa się otworzyła. Wewnątrz znajdowało się płaskie, szczelnie zamknięte i prosto wyglądające urządzenie, najwidoczniej rdzeń silnika. Zdawało się, że nie ma ono żadnego innego zamocowania. Miau wyjął je i podał Jackowi. Przypominało rozmiarem i kształtem elektryczną maszynkę do golenia. Z boku znajdował się przycisk. Miau wskazał go, nacisnął z góry, a następnie przesunął dłoń Jacka, tak by urządzenie skierowane było w przeciwnym kierunku. Jack, spodziewając się wszystkiego, począwszy od niczego aż po „oślepiający błysk palącej żywej energii”, tak drogi literaturze science fiction, nacisnął guzik.

Urządzenie zasyczało i łagodnie wsunęło się z powrotem do jego dłoni.

— Wszystko świetnie — rzekł Jack — ale co mam z tym zrobić?

Miau pokazał palcem na miejsce cięcia piłą, a następnie na przyrząd.

— Aha! — zrozumiał Jack. Pochylił się nisko, skierował przedmiot na koniec cięcia i przycisnął guzik. Ponownie syk, a następnie lekkie, równomierne odbicie i w drzewie ukazała się cienka szparka. Było to czyste i równe cięcie, blisko o połowę cieńsze od wykonanego piłą, i — jak długo trzymał rękę nieruchomo — idealnie proste. Delikatny obłoczek sproszkowanego drewna wypłynął unoszony wirem powietrza przez dziurę w dachu.

Jack eksperymentował trzymając silnik blisko drewna i z dala od niego. Zauważył, że im bliżej powierzchni znajduje się urządzenie, tym cięcie jest węższe. W miarę oddalania szczelina stawała się coraz szersza, a jej wycięcie pochłaniało więcej czasu, aż w końcu z odległości około pół metra przyrząd przestawał działać. Jack, zachwycony, szybko przyciął i wyrównał dziurę. Miau obserwował to z zadowoleniem. Garry uśmiechnął się do niego, wiedząc, jak sam by się czuł, gdyby pokazał piłę jakiemuś prymitywnemu człowiekowi, który starał się obrabiać drewno za pomocą maczety.

Kiedy skończył, zwrócił srebrnemu człowiekowi jego silnik i klepnął go po ramieniu. — Stokrotne dzięki, Miau.

— Jiick — odparł przybysz i sięgnął ku szyi mężczyzny. Jeden kciuk położył mu na obojczyku, drugi z tyłu, nad łopatką. Potem przycisnął te miejsca dwukrotnie.

— Tak się tam u was ściska dłoni? — uśmiechnął się Jack. Pomyślał, że to całkiem możliwe. Każda cywilizowana rasa ma prawdopodobnie jakieś pozdrowienie wyrażane za pomocą rąk. Uścisk dłoni wykształcił się z jej podniesienia na dowód, że pozdrawiający jest nieuzbrojony. Całkiem możliwe, że gest Miaua jest trochę inną formą tego samego znaku. Pokazywanie sobie nawzajem gardeł może przecież również być wyrazem przyjaznych zamiarów.

Trzema zręcznymi ruchami Miau wsunął maleńki silnik na powrót do obudowy i trzymając pręt jedną ręką zszedł z dachu pozwalając się w ten zadziwiający sposób opuścić na ziemię, niczym ziarnko ostu. Gdy już się znalazł na ziemi, odrzucił pręt z powrotem na górę. Jack ze zdziwieniem patrzył, jak urządzenie mknie ku niemu niczym dowolny ziemski przedmiot. Wyciągnął rękę, ale chybił. Pręt doleciał do szczytu swojej trajektorii, a kiedy zaczął opadać, włączyły się silniki i łagodnie opuściły go ku mężczyźnie. Jack założył urządzenie i spłynął w dół, w kierunku Miaua.

Srebrny człowiek poszedł za nim do składziku, gdzie znajdowało się kilkanaście kawałków obrobionego drewna. Jack wybrał parę całowych desek sosnowych i wyciągnął na zewnątrz; chciał je odpowiednio wymierzyć i poznać, a następnie zbić w prostą klapę zasłaniającą bezużyteczną klatkę schodową. Wszystkiemu temu Miau przypatrywał się z nieukrywaną ciekawością.

Jack podniósł latający pas i usiłował otworzyć opływową pokrywę, aby wyjąć przecinarkę. Poniósł całkowitą klęskę. Naciskał, wykręcał, pociągał. Uzyskał tylko tyle, że delikatnie syczało, kiedy przybliżył urządzenie do podłogi.

— Iik, Jiick — rzekł Miau. Wziął silnik od Jacka i nacisnął. Mężczyzna uważnie obserwował. Następnie wziął przecinarkę.

Błyskawicznie przykroił drewno, kpiąco popatrując na piłę zawieszoną na ścianie. Następnie trzema listwami ułożonymi w literę „Z” zbił całą klapę, obciął pozostałe nierówności i cofnął się, by nacieszyć oko. Natychmiast zdał sobie sprawę, że klapa jest zbyt ciężka, aby sam ją mógł choćby podnieść, a co dopiero wciągnąć na dach. Gdyby Miau miał teraz obie ręce zdrowe albo gdyby... — Podrapał się w głowę.

— Przenieś ją za pomocą latającego pasa, tatusiu.

— Molly! Skąd ci to przyszło do głowy?

— Miau powie... To znaczy, jakoś tak zrozu...

— Wyjaśnijmy sobie raz na zawsze. Jak on z tobą rozmawia?

— Nie wiem, tatusiu. To jest tak, jakbym pamiętała, co powiedział, ale nie... same słowa. Ja po prostu... po prostu... — zawahała się, a potem powiedziała gwałtownie: — Nie wiem. Naprawdę nie wiem, tatusiu!

— Co powiedział tym razem?

Spojrzała na Miaua. Jack ponownie zauważył to dziwne nabrzmienie srebrnych wąsów przybysza. Córka odrzekła: — Połóż klapę, którą właśnie zrobiłeś, na latającym pasie i podnieś go. Pas sprawi, że klapa będzie wolno opadać, a ty ją wtedy popchniesz w wybranym kierunku...

Jack przyjrzał się klapie, urządzeniu odrzutowemu, i pojął, na czym rzecz polega. Kiedy wsunął pręt odrzutowy pod klapę, Miau pchnął ją ku górze. Uniosła się, a wtedy przybysz, zatrzymując jej ruch, przeciągnął ją daleko poza składzik, nim osiadła na ziemi. Jeszcze jedno pchnięcie, łatwe przeciąganie i zrobili następnych dziesięć metrów. W ten sposób pokonali odległość dzielącą ich od domu. Z tyłu za nimi Molly skakała i śmiała się, prosząc o przejazdżkę i wychwalając pod same niebiosa zadowolonego z siebie Miaua.

Kiedy już dotarli do domu, Jack zapytał: — No, Einsteinie juniorze, jak to wniesiemy na dach?

Miau podniósł jo-jo należące do dziewczynki i zręcznie zaczął się nim bawić. Całkowicie pochłonięty zabawką zniknął za rogiem domu.

— Halo!

— On nie wie, tatusiu. Musisz sam coś wykombinować.

— To znaczy, że potrafił wymyślić tę sprytną sztuczkę z przeniesieniem kłapy aż tutaj, a teraz szare komórki go zawiodły?

— Na to wygląda, tatusiu.

Jack Garry popatrzył za oddalającą się postacią srebrnego człowieka i pokręcił głową. Już się przyzwyczaił oczekiwać, że Miau potrafi myśleć sprawniej niż istota ludzka, nawet jeśli było to rozumowanie nieco odmienne. Nie potrafił tego pogodzić z odrzuceniem przez przybysza zagadnienia z zakresu podstaw logiki. Człowiek o jego zdolnościach z pewnością nie wymyśliłby tak nieszablonowej metody przeniesienia kłapy aż tu, nie zdając sobie sprawy z faktu, że to dopiero połowa roboty.

Wzruszywszy ramionami poszedł do składziku i przyniósł mały blok oraz wielokrążek. Musiał wkręcić w okap duży hak, drugi zaś w klapę, i kiedy już pracowicie podciągnął ją tak, że wielokrążek został zablokowany, wystarczyło tylko trochę mozolnej pracy, aby przepchnąć klapę przez krawędź i przeciągnąć na właściwe miejsce. Miau wyraźnie stracił zupełnie zainteresowanie. Dopiero dwie godziny później, kiedy Jack nakładał ostatnią śrubkę na zasuwie kłapy i ogłaszał koniec roboty, usłyszał ponowne wrzaski Miaua. Rzucił narzędzia, wsunął się do odrzutowego prętu i spłynął z dachu.

— Iris! Ins! Co się stało?

— Nie wiem, Jack. On... on...

Jack pobiegł przed fronton domu. Miau leżał na ziemi targany gwałtownymi konwulsjami. Plecy wygiął w wysoki łuk, a pięty wbił w ziemię; głowę odrzucił do tyłu pod zupełnie nieprawdopodobnym kątem, tak że ciężar ciała opierał się jedynie na piętach i głowie. Zdrową ręką grzmocił ziemię, natomiast chore ramię spoczywało bezwładnie. Wargi wykrzywiły się i wydawały serię trudnych do zniesienia ostrych, zdyszanych skowytów. Zdawało się, że potrafi krzyczeć równie głośno przy wdechu jak i wydechu.

Molly stała obok, wpatrując się jak zahipnotyzowana. Uśmiechała się. Jack uklęknął przy wijącej się postaci i usiłował opanować atak.

— Molly, przestań szczerzyć zęby do tego biedaka!

— Ale... on jest szczęśliwy, tatusiu.

— On... co?

— Nie widzisz, głuptasie? Czuje się... świetnie i to wszystko. Śmieje się.

— Co mu się stało, Iris? Wiesz?

— Znowu się dobrał do aspiryny, to wszystko, co mogę powiedzieć.

— Zjadł cztery — dodała Molly. — Uwielbia je.

— Co tu można zrobić, Jack?

— Nie wiem, kochanie — odparł zatroskany. — Lepiej niech sam to zwalczy. Każdy środek uspokajający czy wymiotny mógłby mu zaszkodzić.

Atak niespodziewanie osłabł i wkrótce się skończył, Miau zaś leżał zupełnie bezwładny. Trzymając ponownie rękę nad klatką piersiową przybysza, Jack poczuł podwójne bicie.

— Stracił przytomność — orzekł.

— Nie tatusiu — odezwała się Molly dziwnie cichym głosem. — Ogląda sny.

— Sny?

— Jakieś miejsce o pomarańczowym niebie — powiedziała dziewczynka. Szybko spojrzał na córkę. Miała zamknięte oczy. — Bardzo wielu Miaów. Całe setki — dużych. Takich jak pan Thorndyke (znajomy wydawca z miasteczka, który miał ponad dwa metry wzrostu). Okrągłe domy i duże samoloty z... patykami zamiast skrzydeł...

— Dziecko, opowiadasz bzdury! — zatroskała się Ins..

— Mów dalej — uciszył ją Jack.

— Jakieś miejsce, pokój. To jest... Jest tam Miau i jeszcze kilkunastu innych. Są w szeregach. Nie, w rzędach. Taki jeden duży w żółtym kapeluszu. On... utrzymuje ich w rzędach. A tu jest Miau. Występuje z szeregu. Wyskakuje oknem na latającym pasie. — Zapanowała długa cisza. Miau jęknął.

— Co dalej?

— Nic, tatusiu... poczekaj! Wszystko... jest... zamazane. O, teraz jest coś, jakby łódź podwodna. Tylko że na ziemi, nie w wodzie. Drzwi są otwarte. Miau znajduje się... w środku. Gałki i zegary. Pociągnij gałkę. Pchnij... Ojej! Oj! Boli! — Przyłożyła pięści do skroni.

— Molly!

Dziewczynka otworzyła oczy i oznajmiła całkiem spokojnie: — Mnie się nic nie stało, mamusiu. To we śnie zabolalo, ale nie mnie. Jakby kula ognia i... i uczucie senności, tyle, że przemożne. I to bolało.

— Jack, on jej zrobi krzywdę?

— Wątpię — odparł.

— Ja też — rzekła zdziwiona, a następnie dodała niemal niesłyszalnie: — Ale dlaczego to powiedziałam?

— Miau śpi — oświadczyła nagle Molly.

— Żadnych więcej snów?

— Żadnych. Jejku — to było... zabawne.

— Chodźcie na obiad — rzekła Iris. Głos drżał jej trochę. Weszli do domu. Jack spojrzał na przybysza spokojnie uśmiechającego się przez sen. Przez chwilę chciał położyć to dziwne stworzenie do łóżka, ale dzień był ciepły, a trawa miękka i bujna. Pokręcił głową i wszedł do domu.

— Siadaj i zjedz coś — zaproponowała żona. Rozejrzał się dokoła. — Dokonałaś cudów! — powiedział. Kawałki desek i tynku zniknęły, a triumfalne narzuty na meblach zakwitwały na nich kwiatami. Dygnęła. — Dziękuję, mój panie.

Siedzieli wokół stolika do gry w karty i siali spustoszenie wśród kanapek. — Jack...

— Co takiego?

— Co to było? — Telepatia?

— Tak sądzę. Albo coś podobnego. Poczekajcie tylko, jak powiem Zinsserowi! Nigdy nie



uwierzy.

— Jedziesz po południu na lotnisko?

— Oczywiście. Chyba zabiorę ze sobą Miaua.

— Może być z nim trochę kłopotów ze względu na ludzi. Miau nie wygląda specjalnie na, powiedzmy, twój kuzyna Juliusa, prawda?

— Oj, wszystko będzie dobrze. Mógłby siedzieć z Molly na tylnym siedzeniu, a ja w tym czasie namówię Zinssera, żeby wyszedł i przyjrzał mu się.

— Dlaczego nie ściągniesz Zirissera tutaj?

— Wiesz, że to głupi pomysł. Kiedy spotykamy go w mieście, ma zawsze wolne. Ale tu, na lotnisku, jest zajęty na okrągło.

— Jack... sądzisz, że Molly jest bezpieczna z tym stworzeniem?

— Oczywiście! Martwisz się?

— Tak... Tak, Jack. Ale nie o Miaua. O siebie. Martwię się, bo chyba powinnam być bardziej zaniepokojona, niż jestem, rozumiesz, o co mi chodzi?

Jack pochylił się i pocałował ją. — Stary dobry instynkt macierzyński daje o sobie znać — zaśmiał się. — Miau jest nowy i dziwny, i mógłby być niebezpieczny. Jednocześnie zaś jest bezradny i nieszkodliwy, i coś nakazuje ci jemu też matkować.

— Dotknąłeś sedna sprawy — zamyśliła się Iris. — Jest równie duży i brzydki jak ty, a bezwzględnie bardziej inteligentny. Jednak tobie nie matkuje.

Jack uśmiechnął się. — Ty nie żartujesz. — Szybko wypił kawę i wstał. — Zjedz wszystko, Molly, a potem umyj ręce i buzię. Ja rzucę okiem na Miaua.

— Zatem jedziesz na lotnisko? — spytała Iris.

— Jeśli tylko Miau temu podoła. Jest zbyt wiele tego, co chcę wiedzieć, zbyt wiele, czego nie potrafię zrozumieć. Nie spodziewam się uzyskać od Zinssera wszystkich odpowiedzi, ale wspólnymi siłami zdołamy ustalić, co z tym fantem począć. To sensacja, Iris!

Rozpierany wspaniałymi, ale cokolwiek przesadnymi spekulacjami wyszedł na trawnik przed domem. Miau siedział, radośnie wpatrując się w gąsienicę.

— Miau..

— Diu?

— Chciałbyś się przejechać?

— Hubili gris. Jick?

— Nie rozumiesz chyba, o co mi chodzi. Idziemy — powiedział Jack wskazując garaż. Miau bardzo ostrożnie położył gąsienicę na źdźble trawy i wstał; wtedy właśnie doleciał ich z garażu przeraźliwy łomot i huk. Przez chwilę nikt się nie ruszył, a zaraz potem rozległ się opętańczy wrzask Molly. Instynktownie zupełnie Jack pognął co sił ku garażowi.

— Co się stało, Molly?

Na dźwięk jego głosu córka zamilkła, zupełnie jakby została wyłączona.

— Molly!

— Tu jestem, tatusiu — odezwała się ledwo słyszalnym głosem. Stała przy samochodzie, całym swoim jestestwem skoncentrowana na wysuniętej, drżącej lekko dolnej wardze. Samochód przebił na wylot tylną ścianę garażu.

— Nie chciałam tego zrobić, tatusiu, chciałam ci tylko pomóc wyprowadzić samochód. Dasz mi w skórę? Proszę cię, tatusiu, nie...

— Milcz.

Ucichła momentalnie. — Molly, skąd u diabła przyszło ci do głowy, żeby zrobić coś takiego? Wiesz, że nie wolno dotykać rozrusznika!

— Tatusiu, udawałam, że jest to łódź podwodna, która umie latać, tak jak robił to Miau.

Jack z trudem się przedarł przez ten labirynt składniowy. — Chodź tu — powiedział surowo. Podeszła ciągnąc za sobą stopy i stawiając kroki o połowę mniejsze od normalnych. Ręce trzymała z tyłu za sobą, tam gdzie wyobraźnia podpowiadała jej, że się najbardziej przydadzą. — Wiesz, że powinienem spuścić ci lanie.

— Tak — odparła drżącym głosem. — Chyba powinienem. Ale tylko parę klapsów, dobrze, tatusiu?

Jack przygryzł wargi, żeby się opanować, ale bez skutku. Uśmiechnął się. Ty mała spryciario, pomyślał.

— Coś ci powiem — rzekł szorstko, patrząc na samochód. Na szczęście garaż zbudowany był z lekkich materiałów, więc tych parę nowych wgieć na masce i błotnikach zlało się ze starymi uszkodzeniami. — Zarobiłaś trzy solidne klapsy. Doliczę je do następnego lania.

— Tak, tatusiu — powiedziała Molly, zdziwiona, ale uspokojona. Wdrapała się na tylne siedzenie i usadowiła, mała i wyprostowana, tak by zejść z oczu. Jack usunął powstałe rumowisko, wszedł do samochodu, zapalił tego starego rżęcha i ostrożnie wyjechał z garażu.

Miau trzymał się z daleka, przyglądając się zaskoczonymi srebrnymi oczyma pojękującemu automobilowi. — Wsiadaj — rzekł Jack kiwając nań ręką. Miau się cofnął.

— Miau — zawołała dziewczynka wystawiając głowę przez tylne drzwi. — Tek — odparł przybysz i natychmiast podszedł. Mała otworzyła drzwi i gość wsiadł. Nakrzyczyła na niego ze śmiechem, kiedy przykucnął na podłodze, i kazała mu usiąść na siedzeniu. Jack objechał dom, zatrzymał się, zabrał odrzutowy pręt Miaua, przesłał Iris ręką pocałunek i ruszyli.

Czterdzieści minut później dotarli do lotniska po wzniosłej podróży, w czasie której Molly cały czas zasypywała gościa opisem uroków ziemskiej wsi. Miau wybałuszał i wytrzeszczał oczy w niebywale odpowiedni sposób, jak zaczarowany przysłuchując się małej — czasami Jack byłby przysiągł, że srebrny człowiek rozumie wszystko, co mu dziewczynka mówi — wydając z siebie ciche wrzaski, miauknięcia pełne zachwytu i pytające piski.

— Jesteśmy — oznajmił Jack zaparkowawszy samochód na granicy lotniska. — Wy dwoje zostaniecie przez chwilę w samochodzie. Ja porozmawiam z panem Zinsserem i zobaczę, czy zechce przyjść i poznać Miaua. Molly, chyba potrafisz dać mu do zrozumienia, że ma zostać w samochodzie i nie rzucać się w oczy? Widzisz, jeśli zobaczą go ludzie, zaczną zadawać setki głupich pytań, a nie chcielibyśmy, żeby się czuł zakłopotany, prawda?

— Oczywiście, że nie. Miau będzie grzeczny — powiedziała zwracając się do srebrnego człowieka. Spojrzała mu głęboko w oczy. Wąsy nabrzmiały, zafalowały. — Będiesz grzeczny i się schowasz, co?

— Jiick — odparł Miau. — Jiick mon jef.

— Mówi, że ty tu rządysz.

Jack zaśmiał się wysiadając. — Naprawdę tak mówi? — Czy mała rzeczywiście to wie, czy „też się tylko bawi? — No więc, zachowujcie się porządnie. Zaraz wracam. — Niosąc ze sobą odrzutowy pręt wszedł do budynku.

Zinsser był jak zwykle zajęty. Lotnisko co prawda było niewielkie, ale jako odpowiedzialny za ruch powietrzny Zinsser miał pełne ręce roboty z prywatnymi samolotami. Jedną ze swych kluskowatych, giętkich dłoni owinał wokół słuchawki, do której mówił. — Cześć, Garry! Jakie nowiny? — zagadał pogodnie. — Siadaj, zaraz będę wolny. — Mówił coś z zadowoleniem do telefonu, uśmiechając się przez cały czas do Jacka. Ten zaś oparł się na tyle wygodnie, na ile pozwalała mu jego cierpliwość, i czekał, aż Zinsser skończy.

— No, co tam — rzekł Zinsser, ale znowu zadzwonił telefon. Jack, zniecierpliwiony zamknął otwarte już usta. Zinsser skończył i wtedy zadzwonił kolejny aparat. Kontroler podniósł słuchawkę telefonu polowego z haczyka na boku biurka. — Zinsser, tak...

— Dość tego dobrego — mruknął do siebie Jack. Podeszedł do drzwi i zamknął je tak, że był sam na sam z szefem lotniska. Wziął pręt odrzutowy i ku zdumieniu Zinssera stanął mu na biurku, podniósł urządzenie nad głowę i zszedł z mebla. Silniki zawyły jak huragan. Jack, trzymając się rękoma prętu, opadał powoli ku ziemi. Spojrzał na twarz Zinssera. Wyglądała jak czerwony księżyc podczas śnieżycy, bo dokoła niej latały wszystkie pisma, jakie napłynęły do biura przez ostatnie dwa tygodnie.

W każdym razie pierwszą rzeczą, jaką Zinsser zrobił, kiedy tylko przyszedł do siebie, było odłożenie słuchawki.

— Pomyślałem, że to wystarczy — rzekł uśmiechając się Jack.

— Ty... ty... co to u licha jest?

— Polaryzator dialektyczny — oznajmił Jack lądując. — Co oznacza, że umożliwia rozmowy z zarządcami lotnisk, którzy nie mogą oderwać się od telefonu.

Zinsser zerwał się z krzesła i błyskawicznie obszedł biurko, czyniąc to z zadziwiającą jak na jego tuszę lekkością.

— Niech no się przyjrzę.

Jack wręczył mu urządzenie.

— Miau, patrz! Nadlatuje samolot!

Razem obserwowali, jak maszyna typu Cub ślizgiem podchodzi do lądowania, i oboje pisnęli na widok niewielkich kłębow kurzu wzbitych przez opony i odrzuconych do tyłu przez ciąg powietrza z pracującego śmigła.

— Leci następny. Zaraz będzie startował! — Mały niebieski samolot dwuosobowy o nisko zawieszonych skrzydłach kołował po lotnisku, przyhamował jednym kołem, obrócił się na swój pas i ruszył hucząc ku nim, unosząc się z wyciem ku niebu wysoko nad głowami.

— Iiiiiju — zawyła Molly naśladowując dźwięk motoru, kiedy samolot przelatywał nad nimi.

— Suiiii — syknął Miau, dokładnie powtarzając jęk łopatek pracującego śmigła.

Molly klaskała i krzyczała z uciechy. Kolejny samolot zaczął kołować po lotnisku. Oglądali go z wielkim zainteresowaniem.

— Wyjdź stąd i chodź mu się przyjrzyć — zaproponował Jack. Zinsser spojrzał na zegarek. — Nie mogę. Żarty żartami, ale muszę być pod telefonem jeszcze co najmniej pół godziny. Chyba może poczekać. Nikogo nie ma w pobliżu.

— Właściwie tak. Siedzi z nim Molly, a mówiłem ci już, że doskonale się rozumieją. To właśnie jedna z tych rzeczy, którą chciałbym zbadać: ta telepatia. — Zaśmiał się nagle. — Ach, Molly... wiesz, co zrobiła dziś po południu? — Opowiedział Zinsserowi o tym, jak wyprowadziła samochód z garażu przez tylną ścianę.

— A to mała łobuziara — zaśmiał się Zinsser. — Wszystkie dzieciaki muszą coś w swoim życiu zmajstrować, niech je Bóg zachowa. Mam wrażenie, że w pewnym momencie życia każdy małeć włązi do czegoś, o czym nie ma zielonego pojęcia, i puszcza w ruch akurat nie tak, jak należy. Dzieciak mojego brata kilka dni temu zabrał się za ścinanie trawy przed domem za pomocą mamusinego odkurzacza. — Zaśmiał się. — Ale Wracając do... no, jakże mu tam... Miaua i jego zabawki. Jack, nie możemy tego wypuścić z rąk. Czy wiesz, że on sam, jego ubranie i ta rzecz to jedyne wskazówki, jakie posiadamy na temat jego i jego pochodzenia?

— Pewnie, że wiem. Ale słuchaj — jest bardzo inteligentny. Na pewno bardzo dużo nam powie.

— Naturalnie, że jest inteligentny — odparł Zinsser — na swojej planecie prawdopodobnie wykracza ponad przeciętność. Nie wysłaliby przecież w taką podróż pierwszego lepszego, Jack, jaka szkoda, że nie mamy jego statku!

— Może jeszcze wróci. Jak myślisz, skąd pochodzi?

— Może z Marsa.

— Nie, bądźmy rozsądni. Wiadomo, że Mars posiada atmosferę, ale bardzo rzadką. Aby żyć, organizm taki jak Miaua musiałby mieć Olbrzymie płuca. Nie, nie, nasz gość jest przyzwyczajony do atmosfery zbliżonej do ziemskiej.

— To by wykluczało Wenus.

— Tu, na ziemi, jego ubranie zdaje egzamin. Planeta, skąd pochodzi, musi zatem mieć nie tylko podobną atmosferę, ale i klimat. Wygląda na to, że może jeść większość naszych produktów, chociaż na niektóre patrzy z obrzydzeniem, a aspiryna na przykład wprawia go w stan ekstazy. Po zażyciu zachowuje się tak, jakby doznał zamroczenia śmiechowego.

— Coś takiego! Zastanówmy się chwilę: nie może to być Jowisz, bo budowa ciała przybysza nie zniosłaby siły przyciągania. Planety zewnętrzne są zbyt zimne, Merkury zaś zbyt gorący. — Zinsser oparł się na krześle i z roztargnieniem kiwał głową. — Jack, ten facet nie pochodzi nawet z Układu Słonecznego!

— O rany! Chyba masz rację. Harry, rozgryzłeś już, jak działa ta odrzutowa zabawka?

— Sądząc po tym, co opowiadałeś, że tnie drewno... nawiasem mówiąc, mogę ją zobaczyć?

— Pewnie — Garry chwycił odrzutowiec. Znalazł właściwe guziki, które przycisnął jednocześnie. Oprawa płynnie się otworzyła. Wyjął aktywny rdzeń urządzenia i obchodząc się z nim niesłychanie ostrożnie, odciął mały kawałek biurka Zinssera.

— To najdziwniejsza rzecz, jaką widziałem — rzekł Zinsser. — Mogę zobaczyć?

Wziął przedmiot i obrócił w rękach. — Nie widzę tu żadnego zbiornika paliwa — zamyślił się.

— Chyba używa powietrza — podsunął Jack.

— Ale co popycha to powietrze?

— Ono samo — odparł Jack. — Nie, wcale nie żartuję. Myślę, że w jakiś sposób dokonuje rozkładu części powietrza i używa wyzwolonej w ten sposób energii do napędzania małego silnika odrzutowego. Gdyby wokół tego silnika znajdowała się osłona z otworem ssącym powietrze z jednej strony i z rurą wydechową z drugiej, działałoby to jak pompa wysokopróżniowa, zasysając jeszcze więcej powietrza.

— Albo pracowałoby jako silnik strumieniowy — stwierdził Zinsser. Kiedy spróbował zajrzeć do wylotu silnika, Garry zamarł.

— Na miłość boską, nie naciśnij tylko tego guzika!

— Oczywiście, że nie. Chwileczkę — chyba masz rację. Rurka jest koncentryczna. Jak u licha urządzenie poddające coś rozkładowi może być tak małe i lekkie?

— Rozmyślałem nad tym przez cały dzień — odparł Jack Garry.

— Znalazłem pewną odpowiedź. Ale czy przyjmiesz do wiadomości coś, co brzmi naprawdę niewiarygodnie, a jest mimo to logiczne?

— Znasz mnie — uśmiechnął się Zinsser wskazując ręką na długą półkę wypełnioną magazynami science fiction. — Wał śmiało!

— Więc tak — ostrożnie zaczął Jack. — Wiesz, co to jest energia wiążąca. To co trzyma jądro atomu. Jeśli moja powierzchowna bardzo znajomość teorii jądrowej mnie nie zawodzi, wydaje mi się możliwe wytworzenie kuli energii wiążącej, która byłaby stabilna.

— Kuli? A co w środku?

— Energia wiążąca... albo może nic... przestrzeń. W każdym razie, gdyby otoczyć taką kulę inną kulą, tym razem polem siłowym, które byłoby zdolne przeniknąć do kuli wewnętrznej albo pozwoliłoby materii doń przeniknąć, to wydaje mi się, że cokolwiek naruszyłoby tę równowagę sił, uległoby rozpadowi. Wybuchowe ciśnienie zostałoby uwięzione wewnątrz pierwszej kuli. Jeśli teraz doprowadzić do zetknięcia się kuli energii wiążącej z polem przenikającym, ciśnienie

zamknięte dotąd w środku wydostanie się wybuchowo na zewnątrz. Zamknij teraz cały ten interes w urządzeniu kontrolującym ilość materii wchodzącej do środka z jednej strony kuli oraz wielkość wylotu pozwalającego na wydostanie się energii, a poza tym zamknij całość w osłonie zewnętrznej, dającej ci strumień powietrza gwałtownie przez nieprzeprowadzony — tak jak w pompie próżniowej, o której wspominałeś — a będziesz miał dokładnie to. — I postukał w mały motorek odrzutowy.

— Wyjątkowo oryginalne — rzekł Zinsser kręcąc głową. — Nawet jeśli się mylisz, jest to bardzo oryginalna teoria. Z twoich słów wynikałoby więc, że aby wykonać kopię tego urządzenia, trzeba tylko odkryć naturę energii wiążącej, a następnie znaleźć jakiś sposób, by pozostała stabilna w formie sferycznej. Potem poznać jedynie charakter pola, które zdolne jest przeniknąć energię wiążącą, i pozwolić jakiejś materii, by uczyniła podobnie — ale tylko w jednym kierunku. — Rozłożył ręce. — To wszystko. Tylko nauczyć się używać rzeczy, o których nasi spece nie zaczęli jeszcze nawet teoretyzować, i jesteśmy urzędzeni.

— Bzdura — powiedział Garry. — Miau da nam wszystkie informacje.

— Mam nadzieję. Jack, to może zrewolucjonizować cały świat przemysłu!

— Zaczynasz rozumieć — uśmiechnął się Jack. Zabrzęczał telefon. Zinsser ponownie spojrzął na zegarek. — To rozmowa, na którą czekałem. — Usiadł, odebrał telefon i w czasie kiedy usilnie starał się wytłumaczyć jakiejś wysoko postawionej szysce po drugiej stronie słuchawki zasady fakturowania, szczegóły usług przewozowych oraz międzystanowych ograniczeń handlowych, Jack oparł się wygodnie o przykrojony róg biurka i marzył. Miau? — wybitny przedstawiciel wyższej rasy przybywa na Ziemię, aby wyprowadzić walczącą o lepsze jutro ludzkość na prostszą, bardziej ekonomiczną drogę. Zastanawiał się, jaki był Miau u siebie, jako przedstawiciel tej osobliwej rasy. Młody, ale dojrzały, stwierdził Jack, i wszechstronnie utalentowany — duma narodu, godny zostać ambasadorem wobec nowej i dynamicznej cywilizacji, takiej jak ziemską. A co ze statkiem? Czy zrzucając Miau statek i jego pilot powrócili do owego tajemniczego zakątka Wszechświata, z którego przybyli? Czy też krążą i gdzieś w przestrzeni wyglądają wiadomości od swego lubiącego przygody ambasadora?

Zinsser odłożył słuchawkę na widełki i wstał westchnąwszy. — Doceń moją siłę woli — rzekł. — To najwspanialsza rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła, a jednak wytrwałem przy wszystkich obowiązkach. Czuję się jak dzieciak przed Gwiazdką. Chodźmy na niego popatrzeć.

— Ujjuuuou! — wrzasnął Miau, kiedy następny startujący samolot przemknął nad głowami. Molly wesoło podskakiwała na siedzeniu, bo jej towarzysz okazał się doskonałym komikiem.

Srebrny człowiek zwinnie prześlizgnął się przez oparcie na siedzenie kierowcy, żeby mieć lepszy widok na to, co się dzieje za rogiem pobliskiego hangaru. Wkołowała tam właśnie jedna z awionetek i stała niedaleko, z obracającym się śmigłem.

Molly oparła się łokciami o brzeg siedzenia i wyciągnęła krótką szyję, żeby także lepiej widzieć. Miau otarł się o jej głowę i zrzucił kapelusz. Schylił się, żeby go podnieść, uderzył głową w deskę rozdzielczą, w wyniku czego otworzyła się w niej przegródka. Jego dziwne źrenice zwięzły się, a błony na oczach rozbłysły, gdy sięgał do środka. Zanim dziewczynka zorientowała się, co się dzieje, jej towarzysz już się wydostał z samochodu i biegł przez parking, wysoko podskakując w powietrzu, wydając z siebie przedziwne dźwięki i zatrzymując się co kilka skoków, aby poturlać się po ziemi waląc w nią zdrową ręką.

Przerażona Molly wyskoczyła z samochodu i ruszyła za nim. — Miau! — zawołała. — Miau, wracaj!

Obrócił się ku niej z rozpostartymi ramionami. — Urou! — krzyknął przebiegając obok. Opuścił trochę jedno ramię i uniósł drugie, jak to robi przechylający się samolot, przebiegł po

szerokim łuku, przeskoczył nieduży murek i ruszył ku hangarom.

Molly, dysząc i popłakując, zatrzymała się i tupnęła nogą. — Miau! — zaskrzeczała bezradnie. — Tatusi kazał...

Dwóch mechaników stojących koło awionetki obejrzało się na odgłos dźwięku, który przypominał cywetę naśladowującą okrzyk wojenny Indian Onondaga. Ujrzeni długonogą, szarosrebrzystą zjawę o srebrzystobiałych wąsach i oczach jak szparki, ubraną w szkarłatny strój, którego kolor zmienił się na niebieski. Bez słowa, jakby na komendę, rzucili się do ucieczki. A Miau, wydawszy ostatni przeraźliwy okrzyk radości, wskoczył do samolotu i zniknął w kabinie.

Dziewczynka przyłożyła ręce do ust i wytrzeszczyła oczy. — Och, Miau — westchnęła — coś ty narobił? — Usłyszała tupot nóg i odwróciła się. Gnał ku niej ojciec, a zaraz za nim pan Zinsser.

— Molly, gdzie Miau?

Bez słów wskazała na awionetkę i jakby ten ruch okazał się sygnałem, mały samolot dodał gazu i zaczął powoli odjeżdżać od hangarów.

— Hej! Poczekaj! Czekaj! — niepotrzebnie już krzyknął Jack Garry ruszając w pogoń za maszyną. Usiłował przeskoczyć mur, ale biegnąc szybko źle ocenił swoje możliwości. Zahaczył palcem u nogi o jego szczyt i wyłożył się jak długi na żuźlową płytę lotniska. Zinsser i dziewczynka podbiegli i pomogli mu wstać. Nos Jacka krwawił. Wyciągnął chusteczkę i popatrzył za oddalającym się samolotem. — Miau! — krzyknął.

Awionetka niezdarnie przejechała w poprzek płyty lotniska i nagle zawył silnik. Ogon podniósł się do góry i samolot popędził przed siebie — pod wiatr i w poprzek pasa. Jack odwrócił się, chcąc coś powiedzieć Zinsserowi, i zobaczył, że grubas wpatruje się w maszynę jak rażony piorunem. Podążył za wzrokiem Zinssera i dostrzegł inny, sześćoosobowy samolot zbliżający się do Miaua.

Nigdy jeszcze w życiu nie czuł się tak bezradny. Samoloty z pewnością się zderzą. Nic już nie można zrobić. Obserwował je jakby z dystansu, z szeroko otwartymi oczyma. Mknęły ku sobie, a zdawało się, że pełzną, bo chwila ta trwała całą wieczność. Raptem, na wysokości około pięciu metrów Miau zredukował moc silnika i skręcił. Awionetka zwolniła, poddała się wiatrowi i przeleciała bocznym ślizgiem tak blisko podbrzusza nadlatującej maszyny, że jeszcze jedna warstwa farby na którymkolwiek z samolotów oznaczałaby katastrofę.

Jack nie wiedział, na jak długo wstrzymał powietrze w płucach, ale wydech był dlań udawką.

— W każdym razie latać potrafi — westchnął Zinsser.

— Oczywiście, że potrafi — warknął Jack. — Coś równie prehistorycznego jak samolot jest dla niego dziecinną igraszką. Dziecinną igraszką.

— Tatusiu, boję się.

— Ja nie — odrzekł głucho.

— Ani ja — dorzucił Zinsser uśmiechając się bez przekonania. — Samolot jest ubezpieczony.

Maszyna jak strzała pomknęła do góry. Z przerażeniem patrzyli, jak na wysokości trzydziestu metrów samolot silnie zarzuciwszy wspiął się wyżej biorąc jednocześnie zakręt, stanął pionowo, a następnie runął z jazgotem ku nim. Miau przeleciał tak blisko, że Zinsser padł na twarz. Jack i Molly po prostu stali jak wmurowani. Olbrzymia chmura kurzu zasłoniła wszystko na dziewięćdziesiąt długich sekund. Kiedy nareszcie ponownie ujrzeni samolot, ten leciał kołysząc się szaleńczo na wysokości pięćdziesięciu metrów.

Nagle Molly przeraźliwie krzyknęła i zakryła twarz rękami.

— Dziecko, co ci jest?

Zarzuciła ojcu ręce na szyję i tak gwałtownie zaczęła płakać, że wiedział, jak musi ją od tego boleć gardło. — Przestań! — krzyknął, a potem zapytał bardzo delikatnie: — Co się stało, kochanie?

— On się boi. Miau strasznie, strasznie się boi — powiedziała załamującym się głosem.

Jack spojrział do góry na samolot. Skręcił, przechylił się na skrzydło.

Zinsser wołał skrzekliwie: — Gazu! Gazu! Dodaj gazu, ty durniu!

Miau zmniejszył obroty.

Maszyna, jak kawałek suchego badyła, wzniosła się ku górze, a następnie runęła na ziemię. Uderzenie roztrzaskało samolot.

Dziewczynka całkiem już spokojnie oznajmiła: — Wszystkie obrazki Miaua zniknęły — i nieprzytomna osunęła się na ziemię.

Zawieźli go do szpitala. To było okropne — wszystko; podnoszenie, niesienie do karetki...

Jack gorączkowo pragnął, żeby córka nie widziała tego wszystkiego, ale ona siedziała i płakała, kiedy nieśli go obok. Przechadzając się wraz z Zinsserem tam i z powrotem po poczekalni z troską myślał o tym, jak wiele będzie miał kłopotów z córką, kiedy już się to wszystko skończy.

Wszedł lekarz wycierając ręce. Był to nieduży mężczyzna o nosie przypominającym orzech włoski. — Kto przywiózł tego z wypadku samolotowego — pan?

— My dwaj — odrzekł Zinsser.

— Kto... kto to jest?

— Znajomy. Czy on... czy będzie żył?

— Skąd mam wiedzieć? — niecierpliwie warknął lekarz. — W czasie całej mojej praktyki... — sapnął. — Ten człowiek ma dwa układy krążenia. Dwa zamknięte układy krążenia, każdy z własnym sercem. Cała krew tętnicza wygląda jak żylna — jest purpurowa. Jak doszło do wypadku?

— Zjadł pół pudełka aspiryny z mojego samochodu — rzekł Jack. — Aspiryna go odurza. Gwizdnął samolot i rozwalił go.

— Aspiryna go... — lekarz przyjrzał się uważnie każdemu z nich. — Nie spytam, czy mnie nabieracie. Wystarczy zobaczyć to... to coś tam w środku, żeby nabrać każdego lekarza. Jak długo ma łubki na ręce?

Zinsser spojrział na towarzysza, a ten odrzekł: — Około osiemnastu godzin.

— Osiemnaście godzin? — Lekarz pokręcił głową. — Tak ładnie się zrasta, że powiedziałbym: osiemnaście dni. — Zanim Jack zdołał cokolwiek wtrącić, dodał: — Potrzebna mu transfuzja..

— Ale nie może pan? To znaczy... chciałem powiedzieć, że jego krew...

— Wiem. Wziąłem próbkę do analizy. Dwóch laborantów pracuje nad zmieszaniami składników chemicznych w plazmie, tak by osiągnąć coś możliwie zbliżonego do jego krwi. Obydwaj nazwali mnie kłamcą. Ale on musi mieć transfuzję. Zresztą dam wam znać.

— Wyszedł z pokoju.

— Oto i zdumiony medyk.

— Jest w porządku — rzekł Zinsser. — Dobrze go znam. Masz mu za złe?

— Że tak mówi? Oczywiście, że nie. Harry, nie wiem, co zrobić, jeśli Miau się stąd odmelduje.

— Tak go lubisz?

— Nie tylko o to chodzi. Ale być tak blisko 'spotkania nowej kultury, a potem żeby ci się ot, po prostu wysliznęła — to naprawdę za dużo.;

— Ten silnik odrzutowy... Jack, bez Miaua, który mógłby wytłumaczyć, nie sądzę żeby jakikolwiek uczony potrafił zbudować duplikat. To byłoby mniej więcej tak jakby dać płatnerzowi z Damaszku trochę wolframu i kazać zrobić z niego włókna. Zostałby nam tylko pręt odrzutowy, syczący, kiedy go pchnąć ku ziemi, szydzący z człowieka.

— I ta telepatia — czegoż by nie dał Rhine, żeby to zbadać!

— Właśnie! A jego pochodzenie? — spytał poruszony Zinsser.

— Nie z naszego Układu Słonecznego. Znaczy to, że musiał użyć jakiegoś napędu

międzygwiazdowego albo nawet owego skrzywienia czasoprzestrzeni, o którym piszą fantaści.

— Musi żyć — rzekł Jack. — Musi, albo nie ma sprawiedliwości. Jest zbyt wiele rzeczy, których musimy się dowiedzieć, Harry! Słuchaj — jest tutaj. To znaczy, że któregoś dnia przybędzie więcej jego rodaków.

— Tak, ale dlaczego nie przybyli dotychczas?

— Może i przybyli. Charles Fort...

— A, przestań — rzekł Zinsser. — To już idzie trochę za daleko. Wrócił lekarz. — Chyba się wygrzebie.

— Naprawdę?

— Żadne naprawdę. Nie ma w tym typie niczego prawdziwego. Ale rokowania są dobre. Szybko reaguje na terapię. Co jada?

— Chyba mniej więcej to co my.

— Chyba. Wygląda na to, że nie wie pan o nim zbyt dużo.

— Fakt. Dopiero tu przybył. Nie — proszę mnie tylko nie pytać skąd — zastrzegł się Jack. — Musi mu pan sam zadać to pytanie.

Lekarz podrapał się w głowę. — On nie jest z tego świata. O tym mogę was zapewnić. Niewątpliwie dorosły, ale wszystkie złamania poza jednym są urazami typu dziecięcego, jakie spotyka się u trzylatków. Przezroczyste membrany na... z czego się pan śmieje? — zapytał nagle.

Jack zaczął cicho, od chichotu, ale śmiech wyrwał mu się spod kontroli. Teraz już ryczał.

— Jack! — zawołał Zinsser. — Uspokój się. To jest szpi... Jack machnął ręką. — Nie... nie mogę! — odparł bezradnie i dostał następnego ataku.

— Nie możesz czego?

— Przestać się śmiać — odparł Jack łapiąc powietrze. Potem otrzeźwiał, nawet więcej niż otrzeźwiał. — To po prostu musi być zabawne. Nie zgodzę się na nic innego.

— O czym, u diabła, mówisz?

— Posłuchaj, Harry. Zakładaliśmy wiele rzeczy na temat Miaua, jego kultury, pochodzenia... nigdy niczego się nie dowiemy!

— Ale dlaczego? Sądzisz, że nigdy nam nie powie...

— Oczywiście, że nie. Nie, nie mam racji. Powie nam bardzo dużo. Ale to wszystko na nic. Zaraz ci wytłumaczę. Ponieważ jest naszych rozmiarów, ponieważ bez wątpienia przyleciał statkiem kosmicznym i przywiózł ze sobą jakieś przedmioty, które w oczywisty sposób są wytworem wysoko rozwiniętej cywilizacji, uważamy, że to on stworzył tę cywilizację, że jest wybitnym przedstawicielem swej rasy.

— No tak musi chyba być.

— Musi? Harry, czy Molly wynalazła samochód?

— Nie, ale...

— Ale wyjechała nim przez ścianę garażu.

Na pełnej twarzy Zinssera zaczęło malować się zrozumienie.

— Chcesz powiedzieć...

— Wszystko się zgadza! Przypominasz sobie, jak Miau wymyślił, żeby przenieść tę ciężką kłapę na pręcie odrzutowym, a następnie zostawił sprawę w połowie tylko zakończoną? A jego fascynacja jo-jo Molly? A co zrobisz ze szczególnym porozumieniem między nim a Molly, nikim więcej? Czy nie wygląda to na rozsądne rozumowanie? No, a przyjrzyj się reakcji Iris — prawie macierzyńska, choć sama nie wie dlaczego.

— Biedny mały ludzik — westchnął Zinsser. — Ciekawe, czy myślał, że jest w domu, kiedy wylądował?

— Biedny mały ludzik, pewnie — rzekł Jack i znowu zaczął się śmiać. — Czy Molly potrafi



wyjaśnić, jak działa silnik spalinowy? Czy potrafi objaśnić zjawisko prądu warstwowego na płacie nośnym? — Pokręcił głową. — Sam się przekonasz. Miau będzie w stanie powiedzieć nam coś na kształt zdania Molly: „Jechałam samochodem z tatusiem z szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę”.

— Ale jak on się tu dostał?

— A jak Molly przedostała się przez ścianę garażu? Lekarz bezradnie wzruszył ramionami. — Tego to ja nie wiem. Ale jego reakcje biologiczne faktycznie przypominają dziecko — a jeśli jest nim istotnie, to stopień odnawiania się tkanek będzie wysoki i gwarantuję, że wyzdrowieje.

— Nie na wiele się to zda jemu ani nam — mruknął Zinsser. — Z właściwą dzieciom wiarą w każdego dorosłego prawdopodobnie przez cały czas był przekonany, że w jakiś sposób zawieziemy go do domu. Cóż — nie mamy właściwych środków lokomocji i długo jeszcze, bardzo długo, mieć nie będziemy. Nie wiemy nawet tyle, żeby odtworzyć jego odrzutowiec — a w jego świecie była to przecież ledwie zabawka dla małych dzieci.

— Tatusiu!

— Molly! Myślałem, że mama...

— Tatusiu, chciałam tylko, żebyś to zaniósł Miauowi. — Wyciągnęła swoje stare jo-jo o powycieranych brzegach. — Powiedz mu, że czekam. I że będę się z nim bawić, jak tylko się lepiej poczuje.

Jack Garry wziął zabawkę. — Powiem mu, kochanie.

*Przełożyła Ewa Komorowska*